

JAK PŁATEK ŚNIEGU W ZAMIECI

MARIA PROŃ

MARTYNA MIGDALSKA

Skończyłam dziewięćdziesiąt lat. Czy może być lepsza pora na spisanie wspomnień, kiedy pamięć, bez jednej dekady, ogarnia bez mała cały wiek? Urodziłam się 20 czerwca 1920 roku.

W chatce zamknięta na klucz

Moi rodzice, Katarzyna z Sanków i Piotr swoje pierwsze lata małżeństwa spędzili w Ameryce, gdzie, jak niejeden Polak, pojechali szukać lepszego życia. Wyjeżdżając, zostawili u dziadków ze strony ojca mojego braciszka Stefana. Nasze rodzinne strony to wieś Dorofijówka koło miasteczka Podwołoczyska w województwie tarnopolskim. Mama moja niestety wróciła z tej Ameryki chora na gruźlicę. Na leczenie wyjechała do Prokocimia koło Krakowa. Jeździła tam na zastrzyki, a równolegle leczyła się żywokostem i tym sposobem wyleczyła się z choroby. Kiedy wyruszała do Krakowa, zamykała mnie na klucz w małej chatynce z jednym oknem, w której mieszkaliśmy. Musiała tak robić, bo ja, kilkuletnia dziewczynka uwielbiałam łąkę, kwiaty, śpiew ptaków i często wymykałam się z domu. Niejeden raz musiała mnie szukać, bo bywało, że przysnęłam w trawie i trudno mnie było znaleźć.

Pewnego razu, a nigdy tego nie zapomnę, poszłam do sąsiadów. Była tam spora gromadka dzieci, które zasiadły do miski z czerwonym grochem. Nikomu nie przyszło na myśl, by mnie poczęstować, a może i stawy brakłoby dla własnych dzieci, a ja tymczasem byłam bardzo głodna i jak niczego na świecie nie pragnęłam tak, jak tego grochu. W misce zostało kilka ziarenek. Wyciągnęłam po nie rękę, a wtedy poczułam uderzenie. To mama nadeszła w tej chwili i tak zgromiła mnie za brak powściągliwości. Niebawem ugotowała sporą porcję grochu specjalnie dla mnie, ale to już nie było to samo, wcale mi nie smakował. Od tamtej pory przez całe życie, kiedy ktoś mnie odwiedza, staram się poczęstować gościa tym, co mam. W Prokocimiu mama posłała mnie, sześciolatkę, do pierwszej klasy i z tego podkrakowskiego okresu zapamiętałam najbardziej wyraziście jeszcze coś innego, co powiedział na kazaniu tamtejszy ksiądz. Tak jak nie ma dwóch

jednakowych płatków śniegu, tak nie ma dwóch jednakowych ludzi. Jedni są dobrzy, inni niegodziwi. Na tych pierwszych czeka niebo, ale ci podli muszą liczyć się z tym, że pójdą do piekła. Strasznie płakałam na myśl o tym, że mama, braciszek Stefcio, tatuś, babcia i ja trafimy w różne miejsca, nie wiadomo jakie. Wtedy postanowiłam być bardzo dobra. To postanowienie stało się moją życiową dewizą.

Wizje młodej dziewczyny

Mama wyzdrowiała, wróciłyśmy do Dorofijówki. Zamieszkałyśmy z mamą i wujkiem w domu jej rodziców, podczas gdy brat pozostał pod opieką dziadków ze strony ojca, który znów pojechał do Ameryki. Kiedy miałam może dziewięć lat, wrócił, ale z kolei on zachorował na padaczkę. Po powrocie ojca przenieśliśmy się wszyscy do jego rodziców. Ponieważ zarobił trochę pieniędzy, postanowił zakupić ziemię z parcelacji. Nabył trzy morgi, bo tyle można było kupić gruntu, a dwie następne mój dobry, ufny ojciec nabył na prośbę znajomego, by mu pomóc, choć pierwotnie planował, że resztę pieniędzy przeznaczy na rozbudowę nieruchomości. Owszem, powiększył zabudowania, ale nie w takim stopniu, jak planował. Kiedy znajomy stał się właścicielem ziemi, zwrócił się do Sądu Rozjemczego, który rozłożył spłatę długu na sześćdziesiąt lat, a jak dowiodła historia, oznaczało to, że nasz tato nigdy nie odzyska ciężko zarobionych pieniędzy. Dla nas wybuch wojny był jak wielka powódź, która wszystko zmiotła, cały dorobek z życia rodziny. A jeszcze wcześniej zmarł ojciec, nękany chorobą i troskami.

Nim nastał 17 września 1939 roku, w przeddzień miałam dziwną wizję. Jako młoda dziewczyna uwielbiałam zachody słońca. Patrzyłam na chmury. One z jednej strony uformowały się na kształt czerwonej mapy Polski, a z drugiej – przypominały do złudzenia człowieka z głową lisa. W pewnym momencie otwarta paszcza lista zaczęła pochłaniać kontur mojego kraju, a wtedy napłynęła ogromna czarna chmura, która zajęła, zasłoniła i mapę, i tego człowieka z lisią głową. Ludzie kopali ziemniaki, zaczęłam pytać, czy widzieli to, co ja. Zajęci pracą, nie zwrócili uwagi na tę zdumiewającą grę chmur.

Pobiegłam do domu krzycząc, że bolszewicy nadchodzą. Mama spytała z niepokojem, czy nie zwariowałam, rzucając takie pomysły. Rankiem obudziły nas strzały. To Sowieci przeprawiali się przez Zbrucz i ostrzeliwali strażnicę KOP. Myśmy płakali, a Ukraińcy nie kryli radości. Jeden z nich powiedział szyderczo: „od matki do matki, nie zostało z Polski ani łatki”. W tym niesamowitym, dramatycznym momencie historii miałam jeszcze jedną wizję. Narwałam kwiatów i szłam ustroić kaplicę, gdyż wiedziałam, że Rosjanie ją bardzo szybko zamkną. Wtedy znów o zachodzie słońca niebo przygotowało mi zdumiewający przekaz: chmury przybrały kształt dwóch jaszczurek, skierowanych łebkami do siebie. Na tej od wschodniej strony na ogonie stał krzyż, podobny do mlecznej drogi. W pewnym momencie jaszczurki się zwały, jakby jedna pochłonęła drugą, tam zaś, gdzie był ogon, zjawiła się głowa, a nie niej krzyż. Wtedy pomyślałam sobie: Rosja wróci do Boga. To zdumiewające, ale te niekontrolowane, nieoczekiwane wizje i przeczucia doczekały się spełnienia u zmierzchu mojego życia.

Twarzą w twarz z wrogami

Tymczasem żona plutonowego ze strażnicy rozpacza, bo mąż nie wrócił. Niektórzy przebąkują, że został postrzelony i zawieszony do szpitala w Tarnopolu. Postanawiam ruszyć na jego poszukiwania. Jestem zdeterminowana iść pieszo 40 km, by pomóc tej zalanej łzami kobiecie. Nadjeżdża furmanka, a na niej Żydzi, którzy, jeszcze niedawno uciekając przez Niemcami, teraz wracają do domu, właśnie do miasta, w którym zamierzam szukać rannego. Woźnica pozwala zabrać mi się tym zaprzęgiem i ruszamy. W Tarnopolu docieram do szpitala, pytam sanitariuszki znad księgi pacjentów, czy nie ma tutaj Wodzisławskiego. Moje pytanie słyszy jeden z chorych i pyta: A jak wygląda? Odpowiadam, że to brunet. On odpowiada, że koło niego leży Wodzisławski, ale całkiem siwy. Idę do wskazanej szpitalnej sali i widzę, że tak, że to plutonowy z naszej strażnicy. Umówiłam się, że woźnica będzie na mnie czekał, więc namawiam plutonowego, by zabierał się ze mną do domu, gdyż tu jest niebezpiecznie. Żydzi zapraszają

nas do siebie, dom zasobny, bogato urządzony, chcą ugościć, przenocować, ale ja dziękuję, bo czas nagli.

W drodze powrotnej kilkakrotnie zatrzymują nas żołdaci. Dobrze, że wzięłam od Żyda jakąś kapotę i nakazałam plutonowemu, by porzucił kurtkę pogranicznika, więc kiedy nas zatrzymywali, nikt jakoś pod kapotą nie zauważył resztek umundurowania. Pamiętam strzelaninę po drodze, pamiętam bicie dzwonów, które przywołało w mojej pamięci pieśń „Wieczorny dzwon”. Już świtało, kiedy kolejny patrol zażądał od nas „arużja”. Tłumaczymy, że żadnej broni nie ma, klnę się w imię Boga. Żołnierz odpowiada: „U nas Boha niet”. Wtedy Wodzisławski po rosyjsku konstatuje: „Da, u was Boha niet i sowiesti (sumienia) niet”. Nieoczekiwanie żołdat odparowuje – „Sowiest u nas jest” i na dowód puszcza nas wolno. Można sobie wyobrazić radość żony plutonowego, kiedy zobaczyła go przy życiu. Potem zdarzenia goniły jedno przez drugie. Kto cokolwiek znaczył, szukał ratunku w ucieczce, bo już zaczęły się wywózki. Za ostatnie pieniądze wynajmowano konie z zaprzęgiem i gnano na zachód. Tak było z sierżantem I ojcem nauczycielki, tak salwowali się również inni.

Znowu mam sen, jak się okazuje, proroczy. Widzę strażnicę, oficerowie szukają czegoś w papierach, jakiś mężczyzna wyciąga rękę i wprowadza mnie przez gruzy do środka. Mija jakiś czas, ktoś prosi, bym przetrzymała i bezpiecznie przeprowadziła przez granicę jakieś małżeństwo. Nakarmiliśmy przybyszy, żona jakoś niedomagала, położyła się wcześniej. Patrzę na jego ręce, na oczy i widzę, że to oficer z mojego snu, więc mówię mu o tym, a on odpowiada: „Tak, jestem tym, kogo pani przyśniła, jestem lekarzem – oficerem”. Kiedy modliłam się w drugim pokoju, on podszedł, podniósł za ręce i pocałował w czoło i oczy. To był najpiękniejszy wieczór w moim życiu, kiedy lekarz mnie, prostej dziewczynie ze wsi okazał taki szacunek i życzliwość. Naturalnie zjednałam człowieka, który czótnem przewiózł ich na drugą stronę Zbrucza. W czasie i niemieckiej, i rosyjskiej okupacji niejedną raz przetrzymywałam uciekinierów, udzielałam schronienia i przeprowadzałam przez granicę, pokonując mokradła, szuwały i oczerety. Niektórzy ludzie przeprawiali się na drugą stronę do cukrowni, wracali obładowani, ale ja nic nie przemyślałam, tylko ludzi. Kiedyś cudem zostałam uratowana. Wyszedł patrol z psem. My schroniliśmy się w szuwarach.

Zwierzę podbiegło, spojrzałam psu w oczy i położyłam palce na ustach, a on zawrócił i pobiegł do swojego pana. Innym razem, kiedy na nasze sekretne przejście zwróciła uwagę żołnierzy gęgająca gęś, którą jakaś kobieta przyciskała do boku, postanowiłam iść wprost na wroga. Dwaj żołnierze coś mówili, zwrócenie do siebie, a potem, jakby dla sprawdzenia terenu, rozeszli się, patrząc w przeciwne strony, a ja przeszłam między nimi niedostrzeżona. Uważam, że ocaliła mnie Boża Opatrzność, bo zawsze w tych trudnych sytuacjach żarliwie się modliłam. Nawet wówczas, kiedy Ukraińcy zgotowali naszym rodakom zagładę, kiedy widziałam ciała zamordowanych ludzi i zabitych zwierząt – wychodziłam cało z opresji. Kiedy Niemcy zaatakowali Rosję, a tam już na Syberii zostali nasi zesłańcy, potrafiłam pokonać granicę, by z radzieckiej strony wysyłać im paczki, przypadkowych gości żywiłam, czym się dało i kierowałam na bezpieczne trakty, znając miejscowych przemytników.

Do Polski

Kiedy znów przyszli Sowieci, wiedziałam, że NKWD ma mnie na oku. Czułam, że muszę uciekać. Kilkakrotnie przychodzili po mnie, ale ani razu nie zastali mnie w domu. Była jesień 1945 roku. Repatriowano do Polski całe rodziny. Moja matka jeszcze z wielu powodów nie mogła jechać, postanowiłam ruszyć sama z najbliższym transportem, w którym między innymi jechały dwie nauczycielki. W odpowiednim biurze zameldowałam, że w Polsce czeka na mnie Paweł, narzeczony, który szedł z frontem na Zachód. Pozwolili mi jechać, ale matka tego chłopaka dowiedziała się o tym moim motywie wcześniejszego wyjazdu i była przekonana, że wyprawia się do Polski jej przyszła synowa, zwłaszcza że ten chłopak, jak wielu innych, był we mnie mocno zakochany. Na rozmaite sposoby wieści krążyły między ludźmi, docierały do żołnierzy, którzy odszukiwali swoje rodziny, żony, narzeczone. Paweł odszukał mnie, jak transport zatrzymał się w Krakowie, ale powiedziałam, że za niego nie wyjdę. Wiedziałam, że i on może na mnie czekać na końcu trasy, więc wysiadłam wcześniej, kiedy eszełon zatrzymał się

w Bytomiu. Zaczynałam nowe życie ze skromnym węzełkiem i kilkoma kurami.

Moja Odyseja i amory

Nie miałam pracy ani pieniędzy. Trzymałam się dwóch nauczycielek z moich stron, ale wiedziałam, że będzie to wątłe wsparcie. Zająłymiśmy wolne mieszkanie, z kopalni przynosiłam węgiel. Same opiekowały się chorą córeczką. Miały trochę kosztowności, jakich ja byłam pozbawiona, ale wiedziałam, że muszę sobie poradzić sama. Zresztą niebawem dostały skierowanie do pracy w swoim zawodzie koło Kluczborka i opuściły Bytom. Już udało mi się znaleźć pracę przy produkcji siatek do połowu ryb, kiedy zostałam zaproszona przez kuzynkę w okolice Bystrzycy Kłodzkiej. Zauroczyła mnie ta piękna kraina. Moja krewna mieszkała w Nowym Waliszowie, miała krowę, nie było widma głodu. Zapytałam, czy i dla mnie coś się znajdzie w tym pięknym miejscu z lasem, pagórkami, ruczajami. Okazało się, że na polanie w lesie w drewnianym domku mieszkają dwie Niemki, matka i córka. To właśnie tam znalazłam swoją skromną, ale bezpieczną przystań, niestety na krótko. Właścicielki miały ziemniaki i krowę, a także maszynę do szycia, więc powiedziałam, że na chleb zarobię sama szyciem. Kiedy nastąpiła wywózka Niemców, poradziłam mojej gospodyni, by sprzedała byczka i miała pieniądze na chleb w podróży. Przeraziła się, gdyż zwierzęta inwentarskie były objęte ewidencją, w końcu jednak posłuchała mnie z wdzięcznością. Zostałam sama, ale miałam żywicielkę, a od niej cielątko. Jakież było moje zdumienie, kiedy zjawił się sekretarz partii i zarekwirował krowę, powołując się na zarządzenie starosty. Udałam się więc do powiatowej władzy, by usłyszeć, że żadnego zarządzenia nie było, ale niestety – bydłęcia mi nie zwrócono i znowu zostałam bez niezawodnej w tych trudnych czasach dostarczycielki mleka, sera i śmietany. Po sąsiedzku gospodarz miał kozę, która nie skąpiła mleka, ale beczała u niego, bo nie miał się nią kto zająć. Jak poznał moją sytuację, oddał mi kozę. Żyło mi się samej ciężko, więc postanowiłam pojechać do brata, ale aby podróżować z dobytkiem, trzeba było mieć pozwolenie na przydział wagonu. Ponieważ i sąsiad zamierzał

przenieść się na północny zachód, postanowiliśmy załatwiać wspólnie ten wagon. Wymagało to wyjazdu do Wrocławia, a następnie do ministerstwa w stolicy. Do Wrocławia jechałam za pół darmo, korzystając z biletu na Wystawę Ziem Odzyskanych. Wtedy po raz kolejny doświadczyłam Bożej Opatrzności. W urzędzie za pierwszymi drzwiami natknęłam się na znajomego z moich stron, który wskazał mi dalsze „ścieżki”.

Nie miałam pieniędzy na jazdę koleją do Warszawy. Zgłosiłam konduktorowi brak biletu. Zrozumiał, że to z braku pieniędzy, ale zafrasował się, co będzie, kiedy przyjdzie specjalna kontrola. Odpowiedziałam, że wtedy zapłacę. Jak to – zdziwił się: Przecież nie ma pani pieniędzy. Wyjaśniłam, że mam, ale pożyczone na wszelki wypadek. I rzeczywiście przyszedł rewizor, kontrolował bilety, a mnie pominął, jakbym nie istniała w tym wagonie. Kiedy odszedł, konduktor wrócił i mówił, że to po prostu niesamowite, jakbym na jakąś chwilę zrobiła się niewidzialna. Obserwował tę sytuację jakiś podróżny i opowiedział, że u Boga wszystko jest możliwe, nawet najbardziej irracjonalne sytuacje. On na przykład zawdzięcza życie szczurowi. Za niemieckiej okupacji pracował w kamieniołomach. Śmigały tam szczury, a jeden upodobał właśnie jego, bo ów mężczyzna zawsze rzucał mu chociaż kawałeczek chleba. W końcu jego organizm osiągnął stopień skrajnego wycieńczenia. Padł bez sił. W takich sytuacjach jeńców atakowały szczury, ten jednak gryzoń, karmiony chlebem przez człowieka, bronił do niego dostępu swoich ogoniastych pobratymców. Kiedy służby zbierały pogryzione ciała tych, co zginęli z wycieńczenia, zgarnęły i owego człowieka, który jeszcze żył dzięki opiece szczura. Ta dziwna, wręcz nieprawdopodobna historia jeszcze raz utwierdziła mnie w przekonaniu, że człowiek powinien dzielić się tym, co ma, a Bóg to widzi i nagradza.

Muszę skracać swoją historię, moją odyseję. Dotarłam do brata, w Hostnie koło Międzyborza, z moją kozą i jałoweczką, ale i tam nie miałam spokoju. Skonfliktowany z nim stary kawaler oświadczył mi się, a ja zamierzałam nie przyjąć tych oświadczy z wiadomych powodów, nie chciałam jednak, by przypisał to manipulacji mojego bata, więc po prostu wróciłam do Bytomia. Tu przeniosłam się do dalekich kuzynów i przypadkiem w sąsiedztwie na drzwiach mieszkania przeczytałam nazwisko mojej pierwszej miłości. To nie była partia dla mnie, on prawnik przypadkowo poznany na jakimś balu, ja

dziewczyna ze wsi. Zresztą nie chciałam wychodzić za mąż i on o tym wiedział, bo widziałam moją przyszłość w klasztorze, niestety do żadnego nie mogłam się dostać. Kiedy tak medytowałam pod tymi drzwiami, na schodach zjawił się właśnie on i przedstawił mi swoją żonę. Oboje zaprosili mnie mieszkania, a on od razu przypomniał, że miałam być zakonnicą. Nic straconego – odezwała się jego żona, dodając, że przecież mogę wyjść za mąż, byle nie za prawnika, bo będzie cały czas wspominał o rozwodzie. Wtedy uświadomiłam sobie, że widać nie jest to zbyt szczęśliwe małżeństwo, wolałam więc nie okazać się bliską pokusą dla mojej pierwszej miłości i postanowiłam wyjechać, tak jak stałam, z tego miasta.

To spotkanie zrobiło na mnie tak piorunujące wrażenie, że wprost zrobiło mi się niedobrze, dostałam torsji i natychmiast postanowiłam zrealizować mój zamiar, by zniknąć z Bytomia. I tak wsiadłam do odjeżdżającego pociągu do Poznania. Tłok był niesamowity. Poprosiłam niewysokiego, niepozornego konduktora pomoc, słaniałam się na nogach. Polecił mi przypomnieć się w Tarnowskich Górach, a kiedy na wskazanym przystanku wykonałam jego polecenie, ulokował mnie bezpiecznie i wygodnie w służbowym przedziale. Na trasie pożegnał się i wysiadł, więc jakież było moje zdziwienie, kiedy w Poznaniu zobaczyłam go na peronie. Zwierzyłam się, że chcę dotrzeć do ciotki koło Gorzowa. Poprosił mnie o adres. Tak mnie ujął ten dobry, życzliwy, ale niepozorny człowiek, że kiedy już znalazłam się u ciotki, zwierzyłam się, że gdyby poprosił mnie o rękę, niechybnie bym go poślubiła, choć to „takie małe nic”.

Makabryczny żart

Tymczasem u ciotki nie było żadnych środków do życia. W pobliżu mieszkał znajomy, który dziwił się, że nie chciałam wyjść za Pawła, którego wcześniej spotkałam, przejeżdżając przez Kraków. Płakałam, odrzucając jego oświadczenia, ale nie z braku miłości, tylko na wspomnienie dwóch kuzynów, jego rówieśników, którzy polegli na wojnie: jeden pod Monte Cassino, drugi podczas forsowania Odry. A nie przyjęłam oświadczenia, bo jak wspomniałam,

inne było moje powołanie. Z braku środków do życia wróciłam jednak do Bytomia, choć bałam się nawet przypadkowych spotkań z tym żonatym Władkiem – prawnikiem.

Tutaj czekały na mnie dwa listy i jedna karta od poznanego w pociągu konduktora. Był zaniepokojony moim milczeniem. Podtrzymywaliśmy kontakt korespondencyjny, a niebawem spotkaliśmy się u tej mojej kuzynki koło Bystrzycy Kłodzkiej. Dzieliłam się z nim zachwytem malowniczą okolicą, wybraliśmy się w góry, gdzie mi się oświadczył, a ja przyjął jego matrymonialną ofertę. Wyzaczyliśmy datę ślubu na siedemnasty dzień stycznia. Chciałam, byśmy jeszcze pobyli u kuzynki, ale on powiedział szokujące słowa, które zabrzmiały jak makabryczny żart. „Muszę zostawić kilka dni na mój pogrzeb”. Rozstaliśmy się, a ja w jakiś czas potem znów pojechałam do kuzynki, a wracając przez pomyłkę wsiadłam do niewłaściwego pociągu. Podróżowałam, okazując kartę repatriacyjną, która uprawniała do przyjazdu w wybrane miejsce. Pokazałam ten dokument konduktorowi i pytam, kiedy będą Katowice, a on odpowiada, że pociąg jedzie do Poznania. I tak zdumiewający traf spowodował, że znalazłam się u mojego narzeczonego, wywołując jego zrozumiałe zdziwienie, bo niebawem mieliśmy się spotkać na naszym ślubie.

Właśnie mojemu konduktorowi skończyło się zwolnienie lekarskie i wyruszał wieczorem do pracy. Gospodyni wynajmująca mu pokój przygotowała mi postanie, pożegnaliśmy się, a ja nawet nie powiedziałam, jak miałam we zwyczaju „Idź z Panem Bogiem”, tylko rzuciłam mu „Do zobaczenia” i zmęczona, nawet bez wieczornej modlitwy, zapadłam w sen, z którego wyrwało mnie uczucie niepokoju. Obudziłam się, zaczęłam odmawiać zaniechaną modlitwę i wówczas usłyszałam dzwonek do drzwi. Otworzyłam, a tam – pustka i ciemność. Włosy zjeżyły mi się na głowie, skóra ścierpła, wzięłam więc różaniec, a potem książeczkę do nabożeństwa, by odmówić moją ulubioną Litanię do Imienia Jezus. Za każdym jednak razem książeczka odmykała się na modlitwie Anioł Pański. W końcu zasnęłam, by znów rozbudzić się na dźwięk dzwonka. Tym razem otworzyła gospodyni. Za drzwiami stał ktoś z kolei, rozpytując o mojego narzeczonego, czy ma kogoś bliskiego, kogo należy zawiadomić, bo uległ wypadkowi, pociąg przejechał go, rozcinając ciało na pół. Byłam wstrząśnięta. Zrozumiałam, że nic nie

dzieje się bez celu i przyczyny. Wsiadłam do niewłaściwego pociągu, by pożegnać z jedynym człowiekiem, którego szczerze chciałam poślubić wbrew wewnętrznemu przekonaniu, że powinnam żyć sama.

Taki właśnie ślub złożyłam Panu Jezusowi mając kilkanaście lat, kiedy pieszo pokonałam 200 km drogi wiodącej do Sanktuarium Maryjnego w Milatyniu . Poszłam tam błagać o zdrowie. Chorowałam na nerwy i na serce. Widać Bóg mnie wysłuchał, skoro żyję już 91 rok, co prawda jestem przykuta do łóżka, nękana astmą i niewidoma, to jednak wciąż cieszę się życiem, rozum mi dopisuje i nie narzekam na brak przyjaciół.

Zawód na całe życie

Tu uruchamiali fabrykę odzieżową, więc i ja starałam się o przyjęcie. Uczyłam się krawiectwa u pewnej znajomej, więc kiedy mnie przyjmowano, a nie mogłam wylegitymować się skończeniem właściwej szkoły, nazwisko mojej „mistrzyni” wystarczyło za wszelką rekomendację. Przyjęto mnie, ale nie sprostalam zadaniom w dziale krawiectwo ciężkie, gdzie zostałam skierowana. Byłam zrozpaczona, nie wiedziałam, jak na przykład szyć spodnie czy watówki. I wtedy dowiedziałam się o sześciomiesięcznym kursie pielęgniarskim, zorganizowanym przez PCK. Nie dawano nam żadnego stypendium, nie miałam środków do życia. Mieszkałam u kuzynki, zdradzanej przez męża o 10 lat młodszego. Zaczęła coś podejrzewać, bałam się, że wina spadnie na mnie, choć ta trzecia mieszkała piętro wyżej i w ten sposób brała odwet na rodzinie męża, który ją opuścił. Wyprowadziłam się, poprosiłam znajomą o kwaterę, ale ona zajmowała przejściowy pokój i nie mogła mi pomóc. Wreszcie znalazłam miejsce u innej, w straszliwie zapluskwionym pokoju. Te insekty pogryzły mnie i spowodowały dokuczliwe swędzenie skóry. Głodowałam. Kiedyś zjadłam zupeę, niedojedzoną przez pacjentkę chorą na raka. Zobaczyła to salowa, doniosła oddziałowej, a ta – ordynatorowi. Ordynator wezwał mnie i potwornie zrugął. Byłam tak oburzona, że walnęłam ręką w biurko. Wykrzyczałam mu, że zjadłam zupeę z głodu. Nazajutrz oddziałowa podała mi kromkę chleba. Nie wzięłam, bo ja

też miałam swoje poczucie godności. Kiedy się to zdarzenie rozniósło po szpitalu, gdzie my kursantki miałyśmy praktykę, jedna z pielęgniarek zaczęła mi każdego dnia przynosić pół litra mleka od swojej krowy, hodowanej na peryferiach Bytomia. Byłam życzliwa ludziom, więc zaczęli mnie prosić o pomoc. Ta chora na raka poprosiła mnie o zmianę opatrunków, staruszek z interny, wychodzący na swoje życzenie do domu o zastrzyki, pamiętam, że zapłacił mi sporą, jak na owe czasy, sumkę.

Zbliżały się egzaminy. Ta oddziałowa z praktyki wystawiła mi notę dostateczną. Nie sposób w ciągu kilku miesięcy opanować ogrom materiału. Byłam świadoma, że niewiele wiem o białaczce. Koleżanka wertowała podręcznik. Przeczytaj o białaczce – poprosiłam. Zignorowała moją prośbę. Wchodzimy na salę. Ja dostaję pytanie dotyczące pęknięcia żołądka, a ten temat miałam doskonale opanowany. Ją pytają o białaczkę, o której nie zdążyła, a może nie chciała przeczytać, kiedy ją o to prosiłam. Nie odpowiada, bo nie ma wiele do powiedzenia. Ja zdaję egzaminy z wyróżnieniem. Mam gwarantowaną pracę. Składałam wnioski o wizę dla mamy i sprowadzam ją do Polski. Ma prawo przywieźć do 50 kg dobytku. Wiezie między innymi maszynkę do mielenia mięsa, która jest ciężka jak nie wiem co, pościel, trochę garderoby. Dziwię się, po co taszczyła tę maszynkę, ale ona pozostaje przy swoim: to sprzęt niezbędny do życia.

Po sześciomiesięcznym kursie musiałam popracować na wszystkich oddziałach szpitalnych i w Przychodzi Rejonowej, zanim znów wróciłam do szpitala. Tam robiłam w domu opatrunki kobiecie chorej na pierś. Z wdzięczności wręczyła mi pieniądze, a ja natychmiast zakupiłam za nie Mszę św. w jej intencji. Zamieszkałam w służbowym pokoju, a mama w tej zapluskwionej kwaterze. Potem poszła do pracy w kopalni i już nam wystarczyło na wszystko, na pomoc innym również. Kiedyś znajoma zapytała, czy mogę popilnować dzieci pani Olkowej, bo idzie do teatru. Chętnie zgodziłam się i wówczas dowiedziałam się, że właśnie ta pani opuszcza mieszkanie, przeprowadza się do innego i chce przekazać dotychczasowe lokum w dobre ręce. I tak w jednym dniu dostałam i mieszkanie, i meldunek, meble, bo wniosłam jakąś niepotrzebną komuś sofę z piwnicy, siennik, dwa krzesła i stolik kupiony za niecałe 100 złotych, który służy mi do dziś. Kupiłam też obrazek Pana Jezusa w Ogrójcu i wieczorem

przed tym wizerunkiem dziękowałam Panu Bogu za taki pomyślny obrót moich spraw. Poczułam się nareszcie szczęśliwa pod własnym dachem. Znalazło się tam miejsce i dla dzieci mojego brata, które poszły do bytomskich szkół, i dla niepełnosprawnej dziewczyny, Ludwika, dla której znalazłam pracę chałupniczą. Zaczęła zarabiać, sklejać torby i pudełka dla aptek. Ta biedna istota, choć poruszała się na czterech kończynach, poczuła się potrzebna i zyskała materialną niezależność. Pracowałam, pomagałam ludziom i czułam, że choć jestem sama i nie przyjął mnie żaden zakon, to moje życie ma sens.

Późny mariaż

Już dobrze po czterdziestce poznałam starszego pana, wdowca z trójką dzieci. Jak wielu innych mężczyzn i ten znalazł we mnie cechy, które nakłaniały go do ożenku. Skłonna byłam wyjść za niego, pod warunkiem, że staniemy się białym małżeństwem, a ja dotrzymam złożonego kiedyś ślubu czystości. Bez wahania i bez zastrzeżeń przystał na moją propozycję, ale po ślubie okazało się, że nie miał zamiaru dotrzymać słowa i przeżyłam osiem lat gehenny. Wspierałam jego trójkę dzieci, opiekowałam się jego wnuczkami, pracowałam, prowadziłam dom, ale z jego strony nie było ani jednego słowa uznania czy podzięk. Wreszcie sam rozchorował się na raka pęcherza, a ja zostałam jego pielęgniarką i opiekunką, kiedy sześciokrotnie przechodził operacje. Było mi nieopisanie ciężko, ale dotrzymałam zobowiązania: „i nie opuszczę cię aż do śmierci” i wytrzymałam wszystko mimo ziejącej niechęci jego sióstr, które nie mogły mi darować, że skazałam go na małżeńską czystość. Kiedy zmarł w ósmym roku małżeństwa, dostałam z PZU odszkodowanie, które w całości przekazałam jego synowi. Już wiem niezbitie, że wszystko, co oddamy z lekkim sercem, wraca do nas. Nieoczekiwanie dostałam pracę w Krynicy Morskiej i zarobiłam tyle, ile przekazałam pasierbowi.

Przypadkiem dowiedziałam się, że jakaś rodzina odstępuje mieszkanie w Oświęcimiu. Chciałam już opuścić Bytom, z którym wiązało się tyle traumatycznych przeżyć. Zatem przeniosłyśmy się do tego miasta w 1974

roku, a po trzech latach zarobioną w Krynicy kwotą i pieniędzmi, które dołożyła moja mama, wniosłam wkład na piękne mieszkanie spółdzielcze, w którym mieszkam do dzisiaj. Kiedy 26 lat temu umierała moja mama, mówiła: „Córko, zostajesz całkiem sama, chora, jak ty będziesz żyć???” A tymczasem Bóg mnie nie opuścił. Otaczają mnie szlachetni ludzie. Nie narzekam na samotność. Dopóki mogłam, pomagałam innym. Teraz też śpieszę im z pomocą, ale modlitewną. Nawet moja modlitwa jest pomocna mojej młodej, wykształconej, ale bardzo chorej sąsiadce. Kiedy ma atak, ja za nią się modlę. To prawda, nie miałam dzieci, ale miałam gotowość do dobrych uczynków i moja pogodna starość jest nagrodą za moje niełatwe życie.

Byłam jak płatek śniegu, porwany przez zamieć historii. Wirował, padał w różnych miejscach, ale nie stopniał. Wciąż żyję i czerpię radość z niewyczerpanej studni wspomnień.